

KSIĄŻKA AUTORA „ZAKLINACZA”

HIPOTEZA ZŁA

DONATO CARRISI



ALBATROS

Sala numer trzynaście państwowej kostnicy przeznaczona była dla tak zwanych „uśpionych”.

Znajdowała się na czwartym, najniższym poziomie podziemi, w lodowatym piekle komór chłodniczych. Kondygnacja ta zarezerwowana była dla zwłok pozbawionych tożsamości. Bardzo rzadko zdarzało się, żeby ktoś chciał je obejrzeć.

Jednak tej nocy miał się tu zjawić pewien człowiek.

Dozorca czekał na niego przed windą, zadzierając głowę. Przyglądał się cyfrom ukazującym się kolejno na wyświetlaczu informującym o zjeżdżaniu kabiny i zadawał sobie pytanie, kim może być nieoczekiwany gość. Przede wszystkim jednak zastanawiał się nad powodem, dla którego człowiek ten zapuszczał się aż do tej granicy, tak dalekiej od spraw żywych ludzi.

Gdy zapaliła się ostatnia cyfra, nastąpiła długa chwila spokoju, po czym drzwi windy się otworzyły. Dozorca

przyjrzał się przybyłemu mężczyźnie po czterdziestce ubranemu w granatowy garnitur. I z miejsca – jak to się zawsze zdarzało z ludźmi, którzy po raz pierwszy postawili tu nogę – dojrzał na jego twarzy zdumienie, że nie ma przed sobą pomieszczenia wyłożonego białymi kafelkami, oświetlonego pozbawionymi wyrazu świetlówkami, ale zielone ściany i rzucające pomarańczowy blask żarówki.

– Te zróżnicowane kolory zapobiegają napadom paniki – wyjaśnił dozorca, odpowiadając na milczące pytanie mężczyzny. A potem podał mu niebieski kitel.

Gość nie odpowiedział. Włożył fartuch i chwilę potem obaj ruszyli korytarzem.

– Na tej kondygnacji znajdują się przede wszystkim zwłoki bezdomnych albo dzikich lokatorów. Żadnych dokumentów ani krewnych, wyciągają nogi i trafiają tutaj. Leżą w komorach od numeru pierwszego do dziewiątego – wyjaśnił dozorca. – Natomiast pod numerami dziesiątym i jedenastym składa się ludzi, którzy, jak ja czy pan, płacą podatki i oglądają mecze w telewizji, ale pewnego ranka umierają na zawał w metrze. Któryś z pasażerów udaje, że pomaga, a tymczasem wyciąga im portfel i do widzenia, sztuczka się udała, taki samarytanin znika bez śladu. Ale czasami jest to tylko kwestia biurokracji: jakaś urzędniczka narobi bałaganu w papierach i krewnym, wezwanym w celu identyfikacji, pokazują zwłoki kogoś innego. Taki człowiek zostaje potraktowany, jakby wcale nie umarł, no a oni nadal go poszukują. – Dozorca starał się wyrzucić wrażenie na przybyłym, wcielając się na poczekaniu w rolę turystycznego przewodnika, jednak ten nie reagował. – Poza tym zdarzają się samobójcy albo ofiary wypadków, ci trafiają do sali numer dwanaście. Bo zwłoki mogą być tak

zmalretowane, że można nawet wątpić, czy należały do człowieka – dodał, próbując wybadać wytrzymałość gościa, który sprawiał wrażenie pozbawionego wszelkich uczuć. – W każdym razie prawo nakazuje traktować wszystkich tak samo i przewiduje pobyt w komorze chłodniczej przez okres nie krótszy niż osiemnaście miesięcy. Jeżeli w tym czasie nikt nie zidentyfikuje szczątków albo się po nie nie zgłosi, a przy tym nie ma dalszej potrzeby prowadzenia śledztwa, podejmuje się decyzję o ich kremacji – zacytował z pamięci regulamin.

W tym momencie ton jego głosu zaczął zdradzać zaniepokojenie, ponieważ ciąg dalszy tyczył się powodu tych dziwnych nocnych odwiedzin.

– No i są jeszcze ci z sali numer trzynaście.

Anonimowe ofiary niewyjaśnionych zabójstw.

– W przypadkach zabójstw prawo mówi, że ciało stanowi element dowodowy, dopóki nie zostanie ustalona tożsamość ofiary – oświadczył dozorca. – Nie można skazać zabójcy, jeśli się nie udowodni, że zamordowana przez niego osoba rzeczywiście istniała. Ciało bez nazwiska jest jedynym dowodem tego istnienia. Dlatego przechowywane jest bez ograniczeń czasowych. To jeden z tych dziwnych kruczków prawnych, które tak bardzo lubią adwokaci.

Rozporządzenia głosiły, że dopóki nie ustalą się zbrodniczego czynu, w którego wyniku nastąpiła śmierć, szczątki nie mogą zostać zniszczone ani skazane na naturalny rozkład.

– Mówimy o nich, że to uśpieni.

Nieznani mężczyźni, kobiety, dzieci, co do których nie ustalono jeszcze winnego ich śmierci. Czekali od lat, aż zjawi się ktoś, kto ich uwolni od przekleństwa przypominania

żywych. Ale niczym w jakiejś makabrycznej bajce, aby mogło do tego dojść, wystarczyło wypowiedzieć tajemne słowo.

Ich nazwisko.

Pomieszczenie, w którym znaleźli schronienie – sala numer trzynaście – było ostatnim w głębi korytarza.

Gdy obaj znaleźli się przed metalowymi drzwiami, dozorca zaczął grzebać w pęku kluczy, dopóki nie znalazł właściwego. Otworzył je i cofnął się, ustępując pierwszeństwa gościowi. Gdy tylko przybyły wszedł do mrocznego wnętrza, pod sufitem zapalił się rząd żółtych żarówek włączanych czujnikami ruchu. Na środku pomieszczenia widać było stół do sekcji zwłok, a wokół niego wysokie ściany chłodni z dziesiątkami komór.

Stalowy ul.

– Proszę się tu podpisać, tak każe regulamin – powiedział dozorca, podsuwając mężczyźnie książkę rejestracyjną. – Które zwłoki pana interesują? – spytał następnie, zdradzając pewne zaniepokojenie.

Gość wreszcie przemówił.

– Te, które znajdują się tu najdłużej.

AHF-93-K999.

Dozorca nauczył się tego skrótu na pamięć, ciesząc się z góry na wyjaśnienie starej tajemnicy. Natychmiast odnalazł szufladę z etykietką przymocowaną do uchwyty. Znajdowała się na lewej ścianie, trzecia od dołu. Wskazał ją przybytemu.

– W porównaniu z innymi ciałami, które się tu znajdują, historia tych zwłok nie jest wcale najbardziej oryginalna – poinformował natychmiast. – W pewne sobotnie popołudnie kilku chłopców grało w parku w piłkę, która wpadła w krzaki... tak właśnie je znaleziono. To ciało mężczyzny, który otrzymał

strzał w głowę. Nie miał przy sobie dokumentów, nawet kluczy do domu. Jego twarz była ciągle doskonale rozpoznawalna, ale nikt nie zadzwonił na policję czy na pogotowie w poszukiwaniu informacji ani nie złożył zawiadomienia o zaginięciu. W oczekiwaniu na ustalenie sprawy, który być może nigdy nie zostanie zidentyfikowany, jedynym dowodem zbrodni są właśnie zwłoki. Z tego powodu sąd postanowił, że będą one przechowywane do czasu wyjaśnienia sprawy i wymierzenia sprawiedliwości. – Zawiesił na chwilę głos. – Od tamtej pory minęły lata, a on ciągle tu jest.

Od bardzo dawna dozorca zadawał sobie pytanie, jaki sens może mieć przechowywanie dowodu zbrodni, której nikt już nie pamięta. Zresztą zawsze utrzymywał, że świat już dawno temu zapomniał o nieznanym mieszkańcu sali numer 13. Jednak następna prośba gościa pozwoliła mu się domyślić, że tajemnica przechowywana za paroma centymetrami stali dalece wykracza poza sprawę zwykłej tożsamości.

– Niech pan otworzy, chcę go zobaczyć.

Symbol AHF-93-K999 był jego nazwiskiem od lat. Ale tej nocy sprawy mogły ulec zmianie. Dozorca umarłych uruchomił zawór wentylacyjny, żeby rozpocząć procedurę otwierania komory.

Jej uśpiony mieszkaniec miał zostać przebudzony.

MILA

Dowód procesowy 397-H/5

Transkrypcja nagrania z godz. 6.40 dnia 21
września [REDACTED].

Przedmiot: zgłoszenie telefoniczne na numer
policyjny w [REDACTED]. Telefonistka: funkcjonariusz
Clara Salgado.

Telefonistka: - Policja. Skąd pan dzwoni?

X: - ...

Telefonistka: - Nie słyszę pana. Skąd pan dzwoni?

X: - Nazywam się Jes.

Telefonistka: - Proszę mi podać imię i nazwisko.

X: - Jes Belman.

Telefonistka: - Jes, ile masz lat?

X: - Dziesięć.

Telefonistka: - Skąd dzwonisz?

X: - Z domu.

Telefonistka: - Możesz mi podać adres?

X: - ...

Telefonistka: - Proszę cię, Jes, podaj mi swój adres.

X: - Mieszkam w [REDACTED].

Telefonistka: - Dobrze. Co się stało? Wiesz, że dzwoniś na policję, prawda? Z jakiego powodu zadzwoniłeś?

X: - Wiem o tym. Oni nie żyją.

Telefonistka: - Jes, powiedziałeś „nie żyją”?

X: - ...

Telefonistka: - Jes, słyszysz mnie? Kto nie żyje?

X: - Tak, słyszę. Wszyscy. Nie żyją wszyscy.

Telefonistka: - To nie jest żart, prawda, Jes?

X: - Nie, proszę pani.

Telefonistka: - Opowiesz mi, co się stało?

X: - Tak.

Telefonistka: - Jes, jesteś tam jeszcze?

X: - Tak.

Telefonistka: - Dlaczego nie chcesz mi opowiedzieć? Nie musisz się spieszyć.

X: - Tak, dobrze. Przyszedł wczoraj wieczorem. Jedliśmy kolację.

Telefonistka: - Kto do was przyszedł?

X: - ...

Telefonistka: - Kto to był, Jes?

X: - Zaczął strzelać.

Telefonistka: - Dobrze, Jes. Chciałabym ci pomóc, ale teraz ty musisz pomóc mnie. Zgoda?

X: - Zgoda.

Telefonistka: - Mówisz, że w porze kolacji jakiś człowiek wszedł do domu i zaczął strzelać?

X: - Tak.

Telefonistka: - A potem nie strzelił do ciebie i wyszedł. Z tobą jest wszystko w porządku, prawda?

X: - Nie.

Telefonistka: - Chcesz powiedzieć, Jes, że jesteś ranny?

X: - Nie. On stąd nie wyszedł.

Telefonistka: - Ten człowiek, który strzelał, jest tam jeszcze?

X: - ...

Telefonistka: - Jes, odpowiedz mi.

X: - On mówi, że musicie tu przyjechać. Musicie przyjechać natychmiast.

Połączenie zostało przerwane. Koniec nagrania.

1

Kilka minut przed szóstą ulica zaczęła się ożywiać.

Śmieciarki opróżniały pojemniki stojące niczym posłuszne żołnierzyki przed domkami jednorodzinnymi. Potem przyszła kolej na pojazd czyszczący asfaltową jezdnię obrotowymi szczotkami. Zaraz po nim nadjechały furgonetki z ludźmi zajmującymi się zielenią. Angielskie trawniki i alejki zostały oczyszczone z liści i chwastów, żywopłoty przywrócone do idealnej wysokości. Wykonawszy swoje zadanie, wszyscy odjechali, zostawiając za plecami świat uporządkowany, pogrążony w ciszy i spokoju.

Mila pomyślała, że to szczęśliwe miejsce jest gotowe, żeby zaprezentować się oczom szczęśliwych mieszkańców.

Noc minęła spokojnie, jak każda noc w tej dzielnicy. Około siódmej domy zaczęły się leniwie budzić. Za oknami zaaferowani ojcowie, matki i dzieci z ożywieniem rozpoczęli nowy dzień.

Kolejny dzień szczęśliwego życia.

Przeglądając się im z hyundaia zaparkowanego na

początku kompleksu budynków, Mila nie odczuwała zawiści, ponieważ wiedziała, że wystarczy trochę poskrobać poślaczoną powierzchnię, aby wyłoniło się spod niej coś zupełnie innego. Czasami prawdziwy obraz, złożony ze światła i cienia, jakim słusznie powinien być. Ale kiedy indziej pokazywała się czarna dziura. Atakował cię zepsuty oddech zgłodniałej otchłani i wydawało ci się, że z jej głębi ktoś wymawia szeptem twoje imię.

Mila Vasquez dobrze знаła wezwania płynące z ciemności. Od dnia narodzin miała do czynienia z mrocznymi cieniami.

Pstryknęła palcami, mocno naciskając wskazujący palec lewej dłoni. Przelotny ból pomógł jej podtrzymać należytą koncentrację. Niedługo potem drzwi wejściowe jednorodzinnych domków zaczęły się otwierać. Rodziny opuszczały mieszkania, żeby podjąć zmagania ze światem. Mila pomyślała, że im zawsze zbyt łatwo one przychodzą.

Zobaczyła, jak z domu wychodzi rodzina Connerów. Ojciec, adwokat, miał czterdzieści lat, szczupłą sylwetkę pod nienagannym szarym garniturem i lekko szpakowate włosy, które podkreślały opaleniznę na twarzy. Matka była blondynką o ciele i obliczu trochę podstarzałej dziewczyny. Wydawało się, że upływ czasu nie ma do niej dostępu. Mila była tego pewna. Były też córki. Starsza chodziła do gimnazjum. Mniejsza, zwracająca uwagę bujnymi lokami, do zerówki. Były portretami rodziców. Gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości co do teorii ewolucji, Mila by je rozproszyła, pokazując im Connerów. Byli piękni, nieskazitelni i, rzecz jasna, mogli mieszkać tylko w szczęśliwym miejscu.

Adwokat pocałował żonę i córki, a potem wsiadł do granatowego audi A6 i odjechał, żeby kontynuować swą

błyskotliwą karierę. Kobieta zajęła miejsce w zielonym SUV-ie marki Nissan, żeby odwieźć dziewczynki do szkoły i przedszkola. W tym momencie Mila wysiadła ze swego auta i ruszyła w kierunku willi z zamiarem dostania się do środka – i do życia rodziny Connerów. Mimo że było gorąco, włożyła dresy do joggingu, bo gdyby miała na sobie tylko podkoszulkę i szorty, blizny przyciągnęłyby dużo więcej uwagi. Według obliczeń, jakie zrobiła od czasu, gdy kilka dni temu rozpoczęła to czatowanie, miała zaledwie czterdzieści minut do powrotu pani Conner do domu.

Czterdzieści minut na sprawdzenie, czy w tym szczęśliwym miejscu kryje się zjawia.

♦ ♦ ♦

Connerowie byli przedmiotem jej badań od kilku tygodni. A wszystko przez przypadek.

Policjanci zajmujący się przypadkami zaginięć nie mogą siedzieć przy biurku i czekać, aż nadejdzie jakiś donos, ponieważ czasami zaginiony nie ma rodziny, która mogłaby o czymkolwiek donieść. Może być również obcokrajowcem albo człowiekiem, który dawno temu zerwał więzy ze wszystkim i wszystkimi, lub po prostu może nie mieć nikogo na świecie.

Mila określała ich słowem „naznaczeni”.

Chodziło o osoby, które wokół siebie miały pustkę i nie przeczuwały, że któregoś dnia zostaną przez nią połknięte. Dlatego najpierw musiała szukać przypadku zaginięcia, a dopiero potem osoby zaginionej. Chodziła po ulicach, odwiedzając miejsca wypełnione beznadzieją, gdzie cień chodzi za tobą krok w krok i nigdy cię nie porzuca. Ale zaginięcia zdarzały się także w środowiskach bezpiecznych i

zdrowych, zapewniających troskliwą opiekę.

Na przykład, gdy dochodziło do zaginięcia dziecka.

Mogło się zdarzyć – i zdarzało się, niestety – że rodzice, zdekoncentrowani powtarzającymi się, rutynowymi czynnościami, nie zauważyli jakiejś drobnej, ale zasadniczej zmiany. Było rzeczą możliwą, że ktoś podszedł do dzieci przebywających poza domem, a oni o tym nie wiedzieli. Dzieci mają skłonność do pocucia winy, gdy spotykają się z uprzejmościami ze strony kogoś dorosłego, ponieważ pojawia się tu niemożliwa do przewyciężenia sprzeczność między dwiema naukami, jakie otrzymują zwykle od mamy i taty: w istocie, trudno im jest wybrać między obowiązkiem okazywania starszym, że są dobrze wychowane, a unikaniem kontaktów z nieznanymi. Bez względu na to, jakie zachowanie wybiorą, zawsze będą miały coś do ukrycia. Jednak Miła spostrzegła, że istnieje doskonałe źródło informacji pozwalające dowiedzieć się, co się dzieje w życiu dziecka.

Dlatego co miesiąc odwiedzała inną szkołę.

Prosiła, żeby pozwolono jej pokręcić się po szkolnych klasach, gdy nie było w nich małych uczniów. Przystawała, żeby przyjrzeć się rysunkom wiszącym na ścianach. Często w tych obrazkach ze świata fantazji kryło się rzeczywiste życie. Ale przede wszystkim kondensowały się sekretne, czasami nieuświadomione emocje, jakie dziecko wchłania i oddaje niczym gąbka. Lubiła odwiedzać szkoły. Lubiła przede wszystkim zapachy – woskowej pasty i kleju do papieru, nowych książek i gumy do żucia. Napełniały ją tajemnym spokojem, podsuwały myśl, że tu nie mogło się przydarzyć nic złego.

Dlatego że w oczach dorosłego najpewniejsze są miejsca,

w których przebywają dzieci.

Podczas jednej z tych wypraw zdarzyło się, że pośród dziesiątków rysunków rozwieszonych na ścianie uwagę Mili zwrócił rysunek młodszej córki państwa Connerów. Wybrała tę szkołę przypadkiem na początku roku szkolnego i weszła do sali w czasie przerwy, gdy dzieci znajdowały się w ogródku. Zatrzymała się w ich maleńkim świecie, wsłuchując się z przyjemnością w wesołe nawoływania dochodzące z dworu.

Tym, co uderzyło ją w rysunku małej Connerówny, była przedstawiona na nim szczęśliwa rodzina. Ona, mama, tata i siostrzyczka na trawie przed domem. Piękny dzień z uśmiechniętym słońcem. Wszyscy czworo trzymali się za ręce. Jednak nieco z boku widoczne było coś, co nie pasowało do całości. Jakby piąta osoba. Z miejsca napełniła ona Milę dziwnym niepokojem. Wydawało się, że się unosi, i brakowało jej twarzy.

Zjawia, pomyślała natychmiast Mila.

Już miała przymknąć na to oczy, ale potem rozejrzała się po ścianie w poszukiwaniu innych rysunków dziewczynki i odkryła, że tajemnicza istota obecna jest na wszystkich.

Szczegół ten był oddany zbyt dokładnie, aby mógł być przypadkowy. Instynkt podpowiedział jej, że powinna zbadać sprawę.

Wypytała wychowawczynię dziewczynki, która była bardzo uprzejma i potwierdziła, że te zjawy pojawiają się już od pewnego czasu. Wyjaśniła, że na podstawie jej doświadczeń nie ma powodów do niepokoju – zwykle zdarza się to po śmierci jakiegoś krewnego albo znajomego i jest to sposób, w jaki małe dzieci reagują na żałobę. Skrupulatna wychowawczyni zapytała o to panią Conner. Chociaż ostatnio

nikt z rodziny nie umarł, jakiś czas temu mała przeżyła nocny koszmar. To mógł być powód.

Mila nauczyła się jednak od psychologów dziecięcych, że dzieci przypisują rzeczywistym postaciom oblicza osób wziętych z fantazji, niekoniecznie bohaterów negatywnych. Tak więc może się zdarzyć, że ktoś obcy zostanie przedstawiony jako wampir, ale także jako sympatyczny kłown, a nawet Spiderman. Mimo to jest zawsze jakiś szczegół, który wyklucza nieдомówienia, przywracając postaci ludzkie cechy. Pamiętała przypadek Samantha Hernandez, która w stroju Świętego Mikołaja przedstawiła człowieka z białą brodą, który podchodził do niej codziennie w parku. Tylko że na rysunku, podobnie jak w rzeczywistości, miał on tatuaż na przedramieniu. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Najwyraźniej godnemu pogardy osobnikowi, który ją uprowadził i zabił, wystarczyła obietnica jakiegoś подарunku.

W przypadku małej Connerówny elementem przyciągającym uwagę była powtarzalność.

Mila była przekonana, że dziewczynka czegoś się przestraszyła. Musiała odkryć, czy tym czymś jest osoba istniejąca rzeczywiście, a przede wszystkim, czy nie zagraża dziewczynce.

Jak zawsze, postanowiła nie uprzedzać o niczym jej rodziców. Nie miało sensu podnoszenie alarmu czy budzenie nieuzasadnionych obaw tylko z powodu nieokreślonego podejrzenia. Zaczęła obserwować małą Connerównę, żeby ustalić osoby, z jakimi kontaktuje się poza domem albo w krótkich chwilach, gdy pozostaje z dala od swoich bliskich, na przykład, gdy jest w szkole lub na zajęciach tanecznych.

Żaden nieznajomy nie okazywał nią szczególnego

zainteresowania.

Podejrzienia okazały się nieuzasadnione. Zdarzało się to często, ale Mila nie przejmowała się tym, że wielodniowa praca poszła na marne, jeśli w zamian ogarniało ją uczucie ulgi.

Dla świętego spokoju jednak postanowiła zajrzeć też do szkoły, do której uczęszczała starsza z córek Connerów. W jej rysunkach nie było żadnych niejasnych elementów, ale w baśni, której streszczenie nauczycielka zadała jako pracę domową, kryła się anomalia.

Dziewczyna wybrała historyjkę ze strachami, której bohaterem był duch.

Było rzeczą możliwą, że to ten właśnie owoc wyobraźni starszej siostry wpłynął później na młodszą, która dała się nastraszyć. Lub też był to decydujący dowód, że wcale nie chodzi o osobę wymyśloną. Mila nie odkryła żadnego podejrzanego obcego i mogło to oznaczać, że zagrożenie znajduje się dużo bliżej, niż uważała na początku.

Nie w postaci nieznajomego, lecz kogoś, kto znajdował się w domu.

Z tego powodu postanowiła podjąć nową wyprawę, tym razem do domu Connerów. Przy tej okazji sama musiała się przeobrazić.

Z tropicielki dzieci w tropicielkę zjaw.

♦ ♦ ♦

Dochodziła ósma rano, gdy Mila wsunęła na głowę słuchawki wyłączonego odtwarzacza mp3 i starając się wyglądać na osobę uprawiającą jogging, przebyła truchtem odcinek ulicy, który dzielił ją od podjazdu. Dotarłszy do

domku Connerów, skrzyła w prawo i pobiegła wzdłuż ściany budynku, żeby dostać się na jego tyły. Sprawdziła najpierw drzwi kuchenne, potem okna. Były zamknięte. Gdyby wejście było otwarte, a potem ktoś by ją zaskoczył, mogłaby wyjaśnić, że weszła do domu, ponieważ podejrzewała, że w środku jest złodziej. Nie uchroniłaby się od oskarżenia, że pogwałciła nienaruszalność cudzego mieszkania, ale dzięki temu miałaby więcej szans, że się jej upiecze. Natomiast gdyby sforsowała zamek, mogła się wystawić na równie niepotrzebne, co głupie ryzyko.

Jeszcze raz pomyślała o powodach, dla których się tu znalazła. Nie mogła się tłumaczyć instynktownym przeczuciem, wszyscy policjanci dobrze o tym wiedzieli. Ale w jej przypadku istniał nieodparty odruch, żeby ciągle przekraczać granice. Jednak z pewnością nie mogła zapukać do drzwi Connerów i powiedzieć: „Dzień dobry, coś mi mówi, że wasze córki narażone są na niebezpieczeństwo ze strony upiora, który może się okazać osobą z krwi i kości”. Tak więc, jak się to często zdarzało, niepokojące przeczucie wygrało ze zdrowym rozsądkiem: wróciła do kuchennych drzwi i otworzyła zamek.

Natychmiast zderzyła się ze ścianą klimatyzowanego powietrza. W kuchni znajdowały się jeszcze talerze ze śniadania, do lodówki przymocowane były zdjęcia z wakacji i kartki z klasówkami, na których widniały świetne oceny.

Mila wyjęła z kieszeni czarny plastikowy futerał. Znajdowała się w nim mikrokamera wielkości guzika, z której wychodził przewód pełniący funkcję nadajnika. Dzięki bezprzewodowemu systemowi i internetowi mogłaby śledzić z oddalenia, co dzieje się w tym domu. Musiała tylko znaleźć

miejsce, które nadawałoby się najlepiej do jej umieszczenia. Spojrzała na zegarek i zagłębiła się we wnętrzu, żeby obejrzeć pozostałe pomieszczenia. Nie mając wiele czasu, postanowiła skupić się na pokojach, w których koncentrowała się większość rodzinnych zajęć.

W salonie oprócz kanap i telewizora stała szafka na książki intarsjowana korzeniem wrzośca. Zamiast książek znajdowały się w niej dyplomy uznania przyznane adwokatowi Connerowi za jego osiągnięcia na sali sądowej lub za zasługi we wspólnocie gminnej. Był wzorowym, bardzo szanowanym obywatelem. Na jednej z półek pyszniło się trofeum łyżwiarskie zdobyte przez starszą córkę. Mili wydało się rzeczą sympatyczną to podzielenie się miejscem na odznaczenia z innym członkiem rodziny.

Stojące na kominku zdjęcie przedstawiało uśmiechniętych i pogodnych Connerów, ubranych w jednakowe czerwone swetry. Prawdopodobnie było w tym coś w rodzaju rodzinnej tradycji, do której wracano w każde Boże Narodzenie. Mila nigdy nie mogłaby pozować do podobnego portretu, jej życie było zbyt odmienne. Ona sama była odmienna. Prędko oderwała wzrok od fotografii, ponieważ ten widok wydał jej się nie do wytrzymania.

Postanowiła obejrzeć pomieszczenia na piętrze.

Łóżka w pokojach były nieposłane i czekały na powrót pani Conner, która zrezygnowała z kariery zawodowej, żeby poświęcić się domowi i opiece nad córkami. Mila rzuciła tylko prędko okiem na pokoje dziewczynek. Szafa w pokoju rodziców była otwarta. Zatrzymała się przed nią, żeby się przyjrzeć sukniom pani Conner. Zaciekała ją egzystencja szczęśliwej matki. Znajdowała się w sytuacji kogoś, kto

ma swym wnętrzu przeciwiała wyłączające uczucia, toteż nie mogła poznać smaku tego życia. Ale mogłaby je sobie wyobrazić, to tak.

Mąż, dwie córki, ładny, wygodny dom niczym bezpieczne gniazdko.

Na chwilę straciła z oczu cel tej lustracji i zauważyła, że niektóre suknie wiszące na wieszakach mają inne rozmiary. Czasami także piękne kobiety przybierają na wadze, pomyślała z przyjemnością. Jej się to nie zdarzało. Była bardzo szczupła. W każdym razie, przyglądając się obszernym sukniom, w których pani Conner ukrywała zapewne nadliczbowe kilogramy, pomyślała, że odzyskanie idealnej linii musiało ją kosztować wiele wysiłku. Nagle Mila uświadomiła sobie, co właśnie robi. Straciła kontrolę nad sobą. Zamiast polować na zagrożenia, sama stała się zagrożeniem dla tej rodziny.

Obcą osobą, która narusza prywatną przestrzeń życiową.

Ponadto zatraciła poczucie czasu i pani Conner mogła być już w drodze powrotnej. Zdecydowała więc niezwłocznie, że najlepszym miejscem na umieszczenie kamery jest salon.

Znalazła najlepiej nadające się miejsce we wnętrzu biblioteczki z rodzinnymi trofeami. Posługując się taśmą samoprzylepną, umieściła urządzenie w taki sposób, żeby jak najlepiej je ukryć między różnymi przedmiotami. Jednak podczas wykonywania tej operacji stwierdziła, że niepokoi ją czerwona plama przypominająca pulsujące światło, którą dostrzegła prawym kącikiem oka na wysokości ściany nad kominkiem.

Przerwała pracę, żeby się odwrócić, i ponownie spojrzała na rodzinne zdjęcie w bożonarodzeniowych swetrach, na które wcześniej rzuciła tylko pośpiesznie okiem z powodu

odczuwania absurdalnej zazdrości. Gdy jednak przyjrzała mu się lepiej, zauważyła w tym idyllicznym obrazku pewne rysy. W szczególności, dojrzała pustkę w oczach pani Conner, tak jakby były to okna niezamieszkanego domu. Adwokat Conner najwyraźniej zmuszał się do przyjęcia promiennej miny, ale uścisk, w jakim trzymał żonę i córki, nie wyrażał poczucia bezpieczeństwa, może tylko posiadanie. Obrazek zawierał też w sobie coś jeszcze, ale Mila nie była w stanie określić, co to jest. Sztuczne szczęście otaczające Connerów ukrywało jakiś błąd. Jednak po chwili to dojrzała.

Dziewczynki miały rację. Pomiędzy nimi kryła się zjawia.

W głębi zdjęcia, zamiast biblioteczki pełnej pochwalnych dyplomów, znajdowały się drzwi.